



Prolog

Trzebinia – dawny Kamieniołom Balaton, 16 grudnia 1999, 23.15

Nie czujesz zimna. Choć lodowaty wiatr ostro smaga cię po twarzy, targa za długie włosy, wnika pomiędzy poły niezapiętego płaszcza. Choć pantofle gubisz w czasie karkołomnej wędrówki i teraz stopy, chronione jedynie przez pończochy, stawiasz na ściełającym się na twojej drodze mroźnym, białym puchu.

Biegniesz już od godziny albo dwóch. Tracisz rozeznanie. Biegniesz. Na przekór zatrzymującym cię ogołoconym z liści gałęziom drzew. Mimo że teren wciąż się wznosi i staje się coraz bardziej stromy. Ślizgasz się na cienkiej warstwie lodu i śniegu, ranisz stopy o leżące na ścieżce kamienie.

Wielokrotnie potykasz się i upadasz. Za każdym razem się podnosisz i idziesz do przodu. Jednak coraz wolniej. Z twoich ust wydobywają się kłęby pary. Nie możesz złapać tchu. Przystajesz na moment, opierasz się o pnie wysokich drzew i przytulasz do szorstkiej kory. Opadasz z sił. Jest ci ciężko.

Biel okrywająca przestrzeń dookoła rozprasza mrok nocy. Wskazuje ci drogę, ale nie tylko tobie... Zostawiasz za sobą ślady.

Wciąż nerwowo oglądasz się za siebie. Każdy odgłos wywołuje przerażenie. Nie możesz pozwolić, by cię dogonili. Musisz zdążyć przed nimi. Potem przestajesz się bać. Skończy się twoja udręka. Wystarczy, że dotrzesz na miejsce.

Wreszcie pokonujesz wzniesienie. Teraz teren się wypłaszcza. Jeszcze kilka kroków. Podchodzisz ostrożnie do krawędzi urwiska. Patrzysz w dół. Nie widzisz zbyt wiele. Jasność śniegu pozwala dostrzec jedynie kontury najbliższej przestrzeni. Ciemność spowija przepaść, ale dokładnie wiesz, jak bardzo jest głęboka. Przyglądałaś się temu miejscu wielokrotnie. Wciąż brakowało ci odwagi,

by to zrobić. Aż do dziś. Nie masz już odwrotu. Tylko to ci pozostało. Robisz krok, a potem drugi, jeszcze jeden...

– Mamusiu, zimno mi...

Słowa córeczki wyrywają cię z odrętwienia. Dopiero teraz dociera do ciebie, że nie jesteś sama. Wtulona w ciebie Róża była zbyt przerażona, by się odezwać.

Dziewczynka została brutalnie wyrwana ze snu. Nie rozumiała, co się dzieje. Nie wiedziała, dlaczego mama wyniosła ją pospiesznie z domu. Na piżamę założyła jej szlafrok, opatulila ją kocem. Na bosc stopy naciągnęła skarpetki i wsunęła kozaczki. Rozbudzona Różyczka płakała cicho i protestowała, jednak mama była bardzo zdenerwowana. Krzyczała na nią zachrypniętym, nienaturalnym głosem. Nigdy dotąd tego nie robiła. Jej ruchy były szybkie i szorstkie. Twarz jej pięknej mamy opuchła od łez. Róża poczuła ich słony smak, gdy kobieta pochwyciła ją w ramiona. Jej ciało drżało, a serce biło w szalonym rytmie. Gdy niosła córkę przez przedpokój, na chwilę się

zatrzymała. Trwało to dwie, może trzy sekundy. Wtedy Róża zobaczyła coś, co sprawiło, że zamilkła. Wtuliła się mocniej w rozdygotane ciało matki, zamknęła oczy i zacisnęła swe małe piąstki na połach jej płaszcza. Potem wybiegły w ciemną noc.

Matka trzymała Różę z całych sił, tak mocno, że dziewczynka chwilami nie mogła oddychać. Z czasem ramiona kobiety stawały się coraz słabsze. Uścisk się poluzował. Różyczka zsuwała się coraz niżej. Panicznie się bała, że matka ją upuści. Ona jednak co jakiś czas podrzucała córkę w ramionach. Dziewczynka oplótła matkę rękami i nogami, mocno się w nią wczepiła. Już wtedy nie miała butów. Zgubiła je w trakcie karłowatej wędrówki przez las. Matka wielokrotnie potykała się o wystające korzenie lub ślizgała się na kamieniach. Dziewczynka boleśnie odczuwała każdy upadek na zmarzniętą ziemię. Wtedy śnieg wdzierał się do jej ust, oczu, włosów... Potem spływał zimnymi strugami po wątlwym ciele, aż pod piżamę. Chłód obezwładniał i usztywniał. Sine usta drżały, a zęby dzwoniły jeden o drugi.

Bała się odezwać. Przewręcenie i strach matki ją obezwładniały. Dlatego milczała, choć chciało jej się siku. Dopiero gdy stanęły nad urwiskiem, odważyła się wypowiedzieć kilka słów:

– Mamusiu, zimno mi...

Wahasz się, słysząc głos córki. Jej drobne ciało, uczone ciebie z całych swych dziecięcych sił, drży z zimna. Oczy koloru nadziei, wpatrzone w ciebie z przerażeniem, są jednak pełne ufności. Z płaczem upadasz na ziemię, mocno tulisz w ramionach swój największy skarb.

– Przepraszam cię... Tak bardzo cię przepraszam, córeczko...

Dociera do ciebie, że życie twojej córki zmieni się na zawsze. Ten dzień zakończy jej szczęśliwe dzieciństwo. Już nikt nie będzie jej tulił z taką miłością jak ty. Wiesz, że to wasze ostatnie wspólne chwile. Zaraz wszystko się skończy. Jak pożegnać się z dzieckiem na zawsze? Chcesz, by Róża zapamiętała ostatnie przytulenie, ostatnie pocałunki. Zdejmujesz z małego palca pierścionek i wkładasz w jej małą piąstkę. Całujesz jej główkę

i mocno tulisz do siebie. Próbujesz nucić ulubioną kołysankę o wędrownicy nieba przez ciemną noc, ale z twojej piersi wyrywa się jedynie niczym niepohamowany szloch. Nie masz już siły, by zrealizować swój plan do końca...

Z oddali słychać ujadanie psów. Za chwilę tu będą...

Światła latarek i krzyki ludzi wystraszyły twoje dziecko. Zaczyna płakać.

– Mamusiu, boję się...

Nie znajdujesz słów pocieszenia. Podnosisz się z ziemi i stajesz tyłem do przepaści. Wciąż trzymasz płaczącą Różę w ramionach. Strumienie światła uderzają w ciebie, oślepiają. Policjanci zatrzymują się w odległości kilkunastu metrów w półokręgu. Z trudem powstrzymują ujadające psy. Zaczynasz się cofać. Ile jeszcze kroków, by pochłonęła was przepaść? W twojej głowie kotłują się myśli. Nigdy nie bałaś się tak bardzo. Z grupy wyłania się kobieta. Podchodzi kilka kroków. Znasz ją.

– Spokojnie. Puść małą – mówi. – Nic jej nie będzie.

Cofasz się o kolejny krok.

– Alina, nie rób tego! – Stanowczy głos Weroniki zatrzymuje cię. – Zaopiekuję się Różyczką.

Obie wiecie, że to kłamstwo. Nawet gdyby przyjaciółka chciała, to nie pozwolą jej się zająć dziewczynką.

Trwacie wpatrzona w siebie. Przerażona, świadome wagi tego, co się dzieje.

– Daj mi ją... – słyszysz.

Nie chcesz tego zrobić, ale wiesz, że to już koniec. Całujesz córeczkę i stawiasz ją na ziemi.

Róża nie chce cię puścić, płacze.

– Idź do cioci, kochanie. Idź szybko, bo zimno.

Odwracasz małą i popychasz delikatnie w stronę Weroniki. Patrzysz, jak na śniegu zostają małe ślady stóp.

– Kocham cię, córeczko! – krzyczysz i robisz krok w tył.

Czujesz, jak osuwasz się w przepaść...



Rozdział 1

Olga

Łódź-Bałuty, 9 listopada 2022

Z impetem rzuciła ciężkie tekturowe pudło na biurko. Emocje jeszcze w niej buzowały. Rozczarowanie i wściekłość rozpierały ją od środka. Chodziła po niewielkiej kawalerce, raz po raz wykrzykując przekleństwa.

„Jak oni mogli tak perfidnie ze mnie zakpić?” – Wciąż zadawała sobie to pytanie, nie znajdując odpowiedzi. Miotła się na tych kilkunastu metrach kwadratowych pomiędzy komodą, wyspą kuchenną i sofą niczym w klatce. Najchętniej wykrzyczałaby swoją frustrację, ale za niewielkim przepierzeniem z regałów wypełnionych po brzegi książkami spał Marcin, który nad ranem wrócił z planu filmowego. Wyszła na chwilę na balkon, gdzie wisiał worek

treningowy. Uderzyła w niego kilka razy gołymi pięściami. Zabolało – i to mocno. Owiał ją zimny wiatr... I chyba to otrzeźwiło ją bardziej niż wyładowanie agresji na martwym przedmiocie. Ale tak naprawdę tylko porządne przywalenie Julicie i pokiereszowanie jej tej wypacykowanej gęby sprawiłoby, że wreszcie poczułaby ulgę.

Weszła z powrotem do mieszkania i opadła bezwładnie na sofę. Znów miała przed oczami triumfującą koleżankę, tę, którą prezeska mianowała szefową redakcji programów publicystycznych. A przecież to ona miała dostać ten awans! Harowała na to od ośmiu cholernych lat. W końcu długo powstrzymywane łzy potoczyły się obficie po jej policzkach. Otarła je dłońmi, rozmazując tusz do rzęs. Ryczała przez dłuższy czas, dając upust emocjom. Nie chciała tego robić w salce konferencyjnej, gdzie ogłoszono niespodziewanie roszadę na stanowiskach w redakcji. Nie tylko ona była w szoku. Norbert też nie krył zaskoczenia. Liczył, że obejmie dział informacyjny. Wyszedł, trzaskając drzwiami. Ona została do końca zebrania. Potem zabrała swoje rzeczy i opuściła budynek.

Nie zamierzała więcej tam wracać. Nie widziała możliwości dalszej współpracy z nową szefową – i właśnie to zamierzała napisać w uzasadnieniu rozwiązania umowy.

– Nie szkoda ci?

Marcin wyłonił się zza regału i wskazał ruchem głowy leżące na biurku pod oknem pudło. Domyślał się, co zaszło, bo partnerka wielokrotnie odgrażała się, że rzuci pracę, gdy nie dostanie upragnionej posady.

Sięgnęła po pudełko chusteczek, wytarła załamane oczy i wysiakała nos. Nie chciała, by Marcin widział, jak się mazgai.

– Jeszcze im pokażę, na co mnie stać. Będą mnie błagali... – rzuciła z wściekłością, która wróciła niczym bumerang.

Marcin przeciągnął się, ziewając. Włożył podkoszulek na goły tors – zwykle spał w samych slipkach. Podeszedł do sofy i usiadł obok Olgi. Nie był dobry w pocieszaniu, zresztą wiedział, że partnerka tego nie lubi. Położył rękę na jej dłoni – taki gest solidarności. Nie zdziwił się jednak, gdy Olga zerwała się z sofy jak oparzona.

- Nie potrzebuję twojej litości - burknęła i poszła do łazienki, by doprowadzić twarz do porządku.

Wróciła po kilku minutach, wciąż podminowana. Rozbiegane oczy, jakby nieobecne, świadczyły o intensywnych procesach, jakie zachodziły w jej głowie. Marcin wiedział, że w takich momentach lepiej milczeć i dać partnerce czas na przetwarzanie. I tak nic do niej nie trafiało.

Podszedł do lodówki. Otworzył drzwiczki z niewielką nadzieją, że na szklanych półkach znajdzie cokolwiek do jedzenia... I się nie pomylił. Olga nie była typem gospodyni domowej, on tym bardziej... Żywili się półproduktami, oboje pochłonięci pracą nie zawracali sobie głowy gotowaniem. Byli wiecznie w rozjazdach. Zresztą nie tworzyli typowego związku. Pomieszkiwali raz u niego, raz u niej... Gdy mieli siebie dość, wracali do swoich czterech kątów. Żadne z nich się o to nie obrażało. Tylko przez jakiś czas wynajmowali wspólne mieszkanie, ale szybko doszli do wniosku, że każde z nich potrzebuje własnej, nieograniczonej przestrzeni. Raz byli blisko, raz

na dystans. Znali swoje przyzwyczajenia i wady. Seks był spoiwem, który cementował ich luźny związek. Choć nie tylko to ich łączyło. Toczyli długie debaty o sztuce, polityce, rzeczach błahych i poważnych. Potrafili też milczeć, żyć obok siebie, mijać się bezosobowo i obojętnie. Bez zbędnej czułości. Olga była dla Marcina jak wygodne kapcie. Nie uwierała, nie narzucała się nachalnie z wizją rodziny i wzajemnych zobowiązań. Wiedział, czego może się po niej spodziewać. Dawała mu komfort niezależności. I vice versa. On też jej nie ograniczał i nie zawłaszczał. Nie oczekiwał, że będzie mu prać, sprzątać i prasować koszule. Robił to zdecydowanie lepiej niż ona.

– Zamówimy pizzę czy chińszczyznę? – rzucił, bez większej nadziei na odpowiedź.

Olga jednak podeszła, objęła go i położyła dłonie na jego pośladkach, przyciągając go do siebie.

– Cokolwiek, ale później. Teraz potrzebuję czegoś innego... – powiedziała i zsunęła mu slipki. – Szybko i intensywnie.



Rozdział 2

Płynąc z nurtem

Wyspa Sobieszewska, 14 czerwca 2023, godz. 2.35

Przed świtem cisza wybrzmiewa najgłośniej – przyroda zamiera w oczekiwaniu na początek. Jasność wkracza niepostrzeżenie i wypiera mrok. Powoli, a jednak z determinacją, nadaje kształty nieodgadnionej przestrzeni. Wyłania z ciemności kontury, które uwypuklają się w odcieniach szarości i czekają, aż promienie słońca nadadzą im właściwe barwy.

Ona też czekała na ten pierwszy świt. Bała się, że może go przespać, więc z emocji prawie nie zmrużyła oka. Zresztą w tę bezchmurną noc mogła swobodnie wpatrywać się w spektakl na niebie, który – choć mało dynamiczny – pochłonął ją bez reszty. Obserwowała, jak niebo wędruje ciemną

nocą z fartuszkim pełnym gwiazd... Właśnie ta kołysanka, której często słuchała w dzieciństwie, przyszła jej teraz na myśl... Leżała na miękkiej trawie i wdychała ciepłe, nieco wilgotne czerwcowe powietrze. Chłoneła zapachy, których tak długo nie czuła. Docierała do niej słodka różana nuta zmieszana z intensywnym aromatem macierzanki i piwonii. Gdy lekki wiatr zmieniał kierunek, przynosił ze sobą zapach dopiero co zakwitłych lilii. Woń kwiatów mieszała się z zapachem igliwia i szuwarów. Doświadczała tego wszystkiego, bo rozłożyła się wśród domków letniskowych otoczonych niewielkimi ogródkami.

Lęk ustąpił. Minął wraz z zachodem słońca. Nocą wreszcie poczuła się bezpiecznie. Dzień okazał się trudniejszy, niż mogłaby przypuszczać. Rzeczywistość spadła na nią jak grom z jasnego nieba. Była zdezorientowana i oszołomiona kakofonią dźwięków i obrazów. Zagubiona w świecie zupełnie jej nieznanym. Niby przypominał ten sprzed dwudziestu kilku lat, ale to były tylko pozory. Odetchnęła więc z ulgą, gdy mrok otulił ją swymi pojemnymi ramionami. Ukoił jej zmysły.

Kiedy znikwały już gwiazdy i cienki sierp księżyca zbliżającego się do nowiu, opuściła swoje nocne schronienie.

Do wschodu słońca pozostała nieco ponad godzina. Gdy zaczynała wędrówkę, było jeszcze ciemno. Musiała włączyć latarkę. Strumień światła stał się jej przewodnikiem. Rozpraszał nie tylko mrok, ale i snującą się mgłę. Musiała iść ostrożnie, krok za krokiem, bo ścieżka wiodła po wyboistych kamieniach i wśród korzeni drzew. Drogę niekiedy barykadowały powyginane konary, które musiała omijać. Szła wzdłuż brzegu rzeki. Tej najpotężniejszej. Tej, którą znała od dzieciństwa. Wiedziała, że tylko centymetry dzielą ją od leniwego nurtu. Jeśli źle postawi stopę, rzeka ją pochłonie i wciągnie na samo dno. Ta świadomość napawała ją respektem wobec bezwzględnej natury. Ona nie wybacza błędów. Jeden nieostrożny ruch i można utonąć w pozornie spokojnej masie wody. Przeszedł ją dreszcz. Od dłuższego czasu chłód i wilgoć przesączały się przez jej cienkie ubranie. Nie otrzymała zbyt wiele na podróż. Biały podkoszulek, granatowe

spodnie, trampki i cienką, rozpinaną, beżową bluzę. Nie wzięła niczego poza tym, co zmieściło się w małym plecaku. Mimo zimna postanowiła zatrzymać się na chwilę. Nie miała takiej kondycji jak kiedyś. Była zmęczona tym długim marszem. Wyciągnęła bułkę i butelkę wody. Usiadła na pniu i niespiesznie żuła kęs czerstwego pieczywa. Świtało. Mogła już wyłączyć latarkę.

Dlaczego wybrała właśnie ten szlak? Przecież mogła wsiąść do pociągu w Grudziądzu i jechać wprost do Gdańska, do Wejherowa albo nawet aż na Hel. I tam stanąć na plaży. Bez tego trudu, bez tej wędrówki... A jednak chciała to zrobić. Planowała to od wielu lat. Kiedyś w bibliotece natrafiła na czasopismo. Był w nim pewien artykuł, który ją zaniepokoił. Właśnie tam zobaczyła zdjęcie tego miejsca. I zapragnęła tu przybyć – by zacząć wszystko od nowa.

Teraz, gdy zrobiło się jaśniej, ujrzała potęgę rzeki. Nie była to już górską strugą, w której brodziła na kolonii w Ustroniu. Ani wijący się wokół Wawelu nurt, w którym kiedyś topiła marzannę. Wisła – u swego kresu – była szeroka i głęboka. Jej

ciemne wody marszczył wiatr dmący od morza. Parła do przodu – dumna i wyniosła. Pokonała swą drogę, zmierzała do celu. Alina towarzyszyła jej w ostatnich chwilach, gdy przestawała być rzeką, a stawała się morzem. Jej słodkie wody zmieniały smak na słony. Zaraz królowa polskich rzek zniknie. Straci swoją tożsamość. Przemieni się w zlewisko różnych cieków. Odtąd już nikt nie nazwie jej Wisłą. Stanie się Bałtykiem. Może i dużo większym akwenem, ale jednak czymś zupełnie innym. Będzie musiała dostosować się do odmiennego rytmu. A przecież dotąd to ona nadawała rytm.

Alina patrzyła w kierunku niewidzialnej linii, która stanowiła granicę między rzeką a morzem. Westchnęła. Stojąc w tym miejscu, uświadomiła sobie rzecz oczywistą, choć dla niej bolesną. A może wręcz przeciwnie? Życie prze do przodu. Nikt go nie zatrzyma... Może pędzi ku samozagładzie, a może – by stać się elementem czegoś większego? Na oślep. Tam, dokąd wiedzie nurt. I nijak się nie można przed nim wybronić. Chyba że się wpadnie na boczny tor, gdzieś w starorzecze, ale

tam stagnacja i spokój...

Nie można zawrócić kijem Wisły – mówi stare przysłowie. Niby tylko przysłowie, a jednak... takie dosłowne w tym miejscu. Alina nie mogła cofnąć czasu. Porwana przez wartki nurt życia popełniała błąd za błędem. Z miłości, z naiwności, z frustracji... Wyniósł ją ten wir poza obręb głównego toru. Została wrzucona na długie lata do gnijącego bajora. Teraz wracała – i od razu wypływała na głębokie, nieznane, niebezpieczne wody.

Po chwili wstała i ruszyła dalej, tym samym szlakiem, ramię w ramię z rzeką. Ku morzu.



Rozdział 3

Po śladach

Wyspa Sobieszewska – Świbno, 14 czerwca, godz. 3.10

Olga otworzyła oczy i ze złością stwierdziła dwa fakty. Po pierwsze: zasnęła. Po drugie: świtało. Chciała się szybko podnieść i sprawdzić, co robi obiekt jej obserwacji. Jednak w tym momencie poczuła przeszywający ból – od szyi, przez plecy, aż po ścierpnięte kończyny. Najwyraźniej musiała zasnąć w niewygodnej pozycji. W końcu wygramoliła się jakoś ze swego legowiska pod drzewem. I wtedy stwierdziła fakt trzeci: kobiety nie było!

– Marcin, zbieraj się! – Trąciła partnera, który drzemał, leżąc na wznak w wysokiej trawie. – Alina zniknęła!

Mężczyzna przeciągnął się, głośno ziewnął. Wstał bez entuzjazmu. Nie miał najmniejszej ochoty na takie eskapady. Olga jednak przez długie miesiące skutecznie zatruwała mu życie, wciąż gadając tylko o jednym. Uległ jej namowom dla świętego spokoju. Nie wiedział tylko, że pisze się na włóczęgostwo. Jednak plan Olgi nie zakładał półśrodków – ona szła na całość. To w niej podziwiał, ale i nie znosił.

– Pospiesz się! – nawoływała partnerka. Pakowała do plecaka wypełnioną do połowy butelkę wody i niedojedzoną drożdżówkę. – Pewnie trzeba będzie użyć drona, żeby ją zlokalizować.

Marcin powstrzymał się od komentarza. Nie chciał się kłócić z Olgą od samego rana. Zrezygnowany pozbierał swoje rzeczy i ruszył za partnerką w kierunku samochodu. Zostawili go kilkaset metrów dalej, na małym parkingu, tuż przy wejściu na pieszy szlak wiodący na Mewią Łachę. Od strony niewielkiej zatoki rzecznej słychać było głosy rybaków i ich krzataninę przy kutrze. „Pewnie szykują się do wypłynięcia na połów. A może już wrócili?” – zastanawiał się.

Niewiele mógł dostrzec, bo gęste krzaki zasłaniały widok na nieduży port w Świbnie. Kiedyś wraz z dziadkiem łowił ryby w Zatoce Puckiej. Pamiętał, że czerwiec to najlepszy czas na belony. „Tu, przy ujściu Wisły, pewnie byłaby szansa i na węgorze – zanim zacznie obowiązywać miesięczny zakaz ich połowów” – snuł przypuszczenia. Nagle poczuł w ustach smak ryby pieczonej na ognisku i żołądek ścisnął mu się z głodu. Nie miał szans na śniadanie. Skromne zapasy jedzenia pochłoniął w nocy. Spojrzał na szyld mijanej smażalni, która znajdowała się vis-à-vis zatoczki. „Ciekawe, czy podają tu świeże ryby, czy – prawie jak wszędzie – te mrożone?” – to pytanie właśnie przyszło mu do głowy.

– Nad czym tak myślisz? – Olga dogoniła go, gdy stał przy samochodzie. – Otwieraj, nie ma czasu. Nie wiadomo, jak daleko uszła.

– Skąd wiesz, dokąd idzie? – zapytał.

– Bo wiem! – rzuciła ze złością, wzmagając w nim irytację.

Olga rzadko zwierzała się Marcinowi. Mówiła mu tylko to, co jej zdaniem powinien wiedzieć.

Reszta miała go nie interesować. To ona była szefową, a on miał się podporządkować – wypełniać polecenia i nie zadawać pytań. Był zwykłym operatorem kamery. Przynajmniej tak go traktowała.

„Dlaczego byli razem?” – po raz nie wiadomo który zadawał sobie to pytanie, przeglądając potrzebny sprzęt. Wybrał aparat, dobrał teleobiektyw do ujęć z daleka i składany statyw. Niezbędne rzeczy schował do plecaka, walizkę wziął do ręki. Na szczęście zestaw z dronem nie ważył zbyt wiele, choć bagaż i tak ciążył mu podczas wędrówki. Nadźwiga się, to prawda, jednak udawanie wielbłąda zazwyczaj się opłacało. Efekty pracy z Olgą zawsze przechodziły jego oczekiwania. Połączenie jej umiejętności prowadzenia historii z jego sposobem filmowania dawało gwarancję sukcesu. Zadane powyżej pytanie o ich związek zawsze sprowadzało się do tej konkluzji: razem tworzyli miniarcydzieła. Dopełniali się idealnie. Gdy on włączał kamerę, ona podsuwała mu bohatera – rozumieli się w pół słowa. Tak samo było w łóżku. Tylko ta codzienność bywała uciążliwa.

Chociaż i tu zgadzali się ze sobą – że mieszkanie osobno to rozwiązanie, które ich satysfakcjonuje. Dozowali sobie swoją obecność, by za bardzo się nie irytować i skupić na tym, co ich łączy, a nie dzieli.

– Gotowy? – Olga niecierpliwie krążyła wokół auta, czekając, aż Marcin się spakuje. Najchętniej sama pobiegłaby za Aliną, ale bez kamery i drona to nie miało sensu... Bała się, że się spóźnią. Na co? Nie wiedziała. Liczyła, że poprowadzi ją, niezawodna dotąd, intuicja.

Ruszyli trasą wiodącą tuż nad rzeką. Było zimno, ale szybki marsz trochę ich rozgrzał. Wędrowali w ciszy. Słyszeć było tylko plusk niewielkich fal odbijających się o kamienie przy brzegu. Mgła snuła się im pod nogami, unosiła, oplatając ich ciała. Nie dogonili Aliny, nawet nie dostrzegli jej sylwetki na szlaku – teren im tego nie ułatwiał. Brzeg porastała gęsta roślinność. Gałęzie krzewów i drzew niekiedy blokowały przejście. Trzeba było je omijać, schylać się lub wspinać na powalone konary. Wisła płynęła leniwie i spokojnie. Wyłaniała się z mroku

i podążała w stronę kielkującej jasności. Jej czarne wody zaczynały połyskiwać i nabierać jaśniejszych odcieni. Drugi brzeg majaczył w ciemności. Tam jeszcze panowała noc. Wysokie drzewa nie dawały dostępu smudze światła bijącej od wschodu. Las, odwrócony do niej tyłem, pogrążony był jeszcze we śnie.

Z każdą chwilą robiło się jaśniej. Do wschodu słońca pozostawały minuty. Po półgodzinnej galopadzie Olga zatrzymała się przy niewielkiej platformie obserwacyjnej.

– Puszczamy drona – zakomenderowała i przeniosła wzrok na miniwieżyczkę widokową.

Chwilę później wspinała się po chyboliwych schodach na sam szczyt. Marcin podążał za nią. Nie kwestionował wyboru miejsca – w tych warunkach było to najlepsze rozwiązanie. Kilka minut zajęły mu przygotowania. Gdy dron już się unosił, oboje śledzili na podglądzie obraz z kamery. Najpierw zobaczyli siebie siedzących na drewnianym po-deście, potem niewielkie rozlewisko pokryte szuwarami. Dostrzegli też ptaka stojącego w wodzie. Polował na ryby.

– To chyba czapla? – bardziej stwierdził, niż zapytał Marcin.

Zbliżył obraz. Ptak błyskawicznie schylił głowę, klapnął dziobem. Pochwycił rybę i zwinnym ruchem ją połknął. Idealne ujęcie. Rozbryzgująca woda, trzepocząca się ryba, jezioro okryte lekką mgiełką. Spokój czapli, jej szybki atak i nieuchronna śmierć ofiary. A potem, jakby nic się nie stało: zapanowała cisza. Wyreżyserowany spektakl natury, pełny dramaturgii i zaskoczenia.

– Co ty wyrabiasz! – ofuknęła go Olga. – Masz zamiar kręcić film przyrodniczy? Spadaj mi z tym ptaszyskiem. Aliny szukaj.

– Kiedyś tak zrobię. Natura jest fascynująca. Tu nie ma perfidii. Wiadomo, kto jest wrogiem, a kto sprzymierzeńcem – odpowiedział, kierując dron nad czubki drzew.

Przez chwilę w skupieniu patrzyli na ekran. W pewnym momencie rozświecił się tak, że aż zmrużyli oczy. Żłota kula słońca, tam, na wysokości kilkudziesięciu metrów, właśnie wytoczyła się zza horyzontu.

– Zejdź niżej – rzuciła Olga.

Dron opadł lekko i sunął wzdłuż brzegu. Zbliżał się do miejsca, gdzie rzeka płynnie zmieniała się w morze. W końcu ją dostrzegli. Alina właśnie dochodziła do celu swej wędrówki.

– Ustaw się za nią. Kadruj na słońce – zarządzała dalej.

Marcin manewrował przyciskami. Ujęcie wyszło genialne. Wręcz metaforyczne: kobieta podąża w stronę wschodu słońca, który jeszcze dla niej nie nadszedł... Wciąż na niego czeka. Pewnie niecierpliwie. Ale ta najjaśniejsza gwiazda już dla niej świeci. Wszystko zagrało: czas, miejsce, postać. Morze migoczące pierwszymi promieniami poranka, niebo z zaróżowionymi pasmami chmur. To jedna z lepszych panoram, jakie udało się Marcinowi uchwycić. Wiedział, że tym przykuje ludzi do ekranu. Czuł, że Olga wrzuci to na sam początek opowieści.

– Teraz obniż. Poczekamy, aż tu, na dole będzie wschód. Przejdź na jej twarz.

– Nie mogę za blisko... usłyszysz.

– To odjedź.

– Zbliżenie będzie nieostre.

– Zrób, co się da.

Przecież robił. Ustawił drona od strony morza. Liczył, że niewielkie fale i lekki wiatr zagłuszą odgłos wirujących łopatek. Skupił się na postaci kobiety, która stanęła przy brzegu. Zwiększył zoom, ale zbliżenie nie wchodziło w grę. Może później uda się to obrobić. Wraz z Olgą patrzyli na ekran. Obserwowali z uwagą, jak Alina upada na kolana i wystawia twarz ku pierwszym promieniom słońca.